

BAON LWÓW NA "WIDNIE"

(Reportaż z frontu włoskiego)

Odwodowy baon "Lwów" ze stanowisk w rejonie oczekiwania wysłał o godzinie 21.00 patrole ścieżkowe. Miały się one posuwać tuż za nacierającym baonem "Wilków" z zadaniem poszerzenia wyrąbanych w zaroślach ścieżek i przeprowadzenia po nich baonu. Według założenia całe wzgórze miało być zdobyte przez nacierając w pierwszej linii baony "Rysiów" i "Wilków", a baon "Lwów" miał wejść na miejsce "Wilków".

Na podstawie wyjściowa

Mijają długie godziny huraganowego ognia naszej artylerii.

12 maja punktualnie o godzinie 01.00 w nocy rusza Lwowski Batalion na podstawie wyjściowej. Cały batalion posuwa się jedyną ścieżką, wijącą się w górę kamiennego grzbieta, na którym zaległy w obronie "Żbiki".

Pluton łączności baonu, wysłany z patrolami ścieżkowymi z zadaniem przygotowania centrali i linii, które pociągną za sobą idące w przód kompanie.

Na czele dowódca baonu płk. D. z poczem.

Artyleria i moździerze niemieckie zaczynają okładać cały trzymany przez "Żbiki" stok silnym ogniem. Batalion idzie wśród straszliwej kanonady własnej artylerii i wybuchów pocisków artyleryjskich i moździerzy niemieckich.

Pułkownik przechodzi obok oficera, stojącego na ścieżce jako regulator ruchu. Pierwszy meldunek tej nocy: patrole ścieżkowe zdziesiątkowane od ognia artylerii i moździerzy. Obaj dowódcy patroli ppor. P. Franciszek i ppor. L. Jerzy ranni. Batalion musi iść naprzód bez przewodników.

Wzdłuż ścieżki w przeciwnym kierunku żołnierze znoszą pierwszych rannych. Na mijanych noszach Lwowiacy poznają swych kolegów.

Ogień niemieckiej artylerii i moździerzy wzrasta się. Pociski padają po obu stronach ścieżki. Jeden z moździerzowych pocisków niemieckich pada w sam środek dowództwa pocztu - opatrzeni naprędce idą dalej.

Pułkownik D. napróżno próbuje na-

wiązać łączność z dowódcą baonu "Wilków". Ktoś daje znać, że w pobliżu jest jakaś centrala telefoniczna. Jest rzeczywiście, ale bez połączeń. Wszystko porwane. Znajdujący się na niej oficer z baonu "Wilków" melduje, że nie ma łączności z własnym dowódcą.

Pułkownik nie ma również swojej centrali, która przepadła, idąc za "Wilkami". Każde zakładać linie i ciągnąć je idącym w przód kompaniom.

Kompanie baonu zostają skierowane na grzbieta, broniony przez "Żbiki", stamtąd mają wysłać patrole i czekać na dalsze rozkazy.

O godzinie 3.30 batalion jest na grzbiecie wzgórza. Zalegli Lwowiacy pomiędzy broniącymi wzgórza od wielu dni i nocy "Żbiki"! Jeszcze trwa noc. W powietrzu mgła dymów, kurz od wybuchających co chwila pocisków niemieckich moździerzy - ogłuszających huk. Ale wszyscy patrzą w przód tam, gdzie zarysowuje się cel natarcia - wzgórze "Widno", oświetlane raz po raz błyskami wybuchów. By doń dojść, batalion będzie musiał zejść z grzbieta do jaru.

Przychodzi z meldunkiem kapitan P. "Wilki" są w przodzie pod "Widnem". Przychodzi również wiadomość od "Rysiów". Są już na "Widnie". "Widno" zdobyte.

Wieść rozchodzi się po szeregach. Serca łopocą. To nic, że ogień nie przestaje ani na chwilę, to nic, że pada kolega z prawej, że z lewa ktoś woła strasznym głosem: sanitariusz, sanitariusz! Naprzód!

Droga do piekieł

Ścieżka, którą schodzi batalion, zdaje się być drogą do piekieł.

Jakiś żołnierz przystanął na chwilę. Przed nim leżą zwłoki zabitego kolegi. Jeszcze wczoraj snuli wspólne marzenia o Kraju. Żołnierz stoi minutę. Mocniej ścisną w garści Thompson. Ociera rękawem czoło. Już idzie naprzód. Musi iść. Przed nim poszedł kolega, za nim idzie następny.

Batalion idzie dalej.

W jarze pod "Widnem" jest już zupełnie jasno, że na Widnie toczy się ciągle walka.

Godzina 03.50. Batalion rozwija się.

Kompanie, każda na wyznaczonym odcinku, wspinają się w górę. Do szczytu około 200 metrów. Całe wzgórze, a szczególnie jego lewy stok, pokryte zbitą gęstwą zarosli. Żołnierz za żołnierzem idzie po kilku wąskich, przerąbanych w krzakach ścieżkach. Stok stromy. Miejscami spadek dochodzi do 50 stopni.

Do ognia moździerzy i artylerii niemieckiej dołączają się salwy niemieckich karabinów i kule strzelców wyborowych, którzy pozostali w rozsianych między krzakami bunkrach, choć znakomitą większość schronów zmiotły idące poprzednio "Rysie" i "Wilki". Siedzący w nich Niemcy przepuścili "Rysiów" i "Żbików", a teraz rażą z ukrycia wspinających się pod górę żołnierzy. Kompanie wyrzucają patrole i powoli, metr po metrze, pną się, likwidując niemieckie bunkry.

Schrony niemieckie na trasie batalionu to kraglaki z dużych kamieni, wysokie około 1 metra, a często niższe, ledwo wystające z nad ziemi, wewnątrz podstawa wystarczająca na leżenie obok siebie kilku żołnierzy. Pomiędzy kamieniami szczeliny strzelnicze. W dole głębokie podkopy wykute w skale, często na głębokość leżącego czkownika. Wszystko doskonale ukryte w zaroślach.

Zachman fałszywej legendy

Oto granatami zlikwidowano jeden z bunkrów. Wewnątrz znaleziono dwa trupy niemieckie. Tuż obok pojawia się chorągiew czerwonego krzyża. Pod dowództwem sanitariusza wyłazi z sąsiedniego, niewidocznego dotąd bunkra pięciu Niemców. Ręce wzniesione w górę drżą konwulsyjnie. Skomla, by nie strzelać. Podskakuje do nich dowódca baonu. Krótkie pytania. Przekrzykując się nawzajem, podają numery kompanii swojej i sąsiadów z prawa i lewa. Podają miejsca innych bunkrów.

Już odchodzą do tyłu pod eskortą któregoś żołnierza, w którego rękę drży ostrze bagnetu, trzymanego nieludzkim wysiłkiem woli, by nie dźgnąć tych, którzy sami przed chwilą siekli z ukrycia jego kolegów.

Znow z innego bunkra wyłazi czterech Niemców. Pierwszy krzyczy najgłośniej. Woła, że jest Austriakiem. Nie jest Niemcem. Nie pytany, miota wiadomościami. Oddaje dokumenty. Przysiada, że na stoku nie ma min. Błaga, by zabrać jego ręczny zegarek, ale by do niego nie strzelać. Cały drży jak liść.

Nie ma czasu na rozmowy. Jeńców odprowadzają w dół.

Kompanie pną się ku górze. Ogień niemieckiej artylerii przechodzi w nawałć. Byle szybciej pod grzbiet.

Wyrzucić Niemców z grzbietu!

Środek baonu osiąga grzbiet w tym miejscu, gdzie sterczy zeń kikut zupełnie zrujnowanego donku. Na grzbiecie

w lewo są Niemcy. Właśnie odparli ogień z oknów.

Baon momentalnie konsoliduje się w obronie.

Już dzień.

Trzela raz za razem z dychy tyłeczek, tasekta wyrzucił Niemców z grzbietu.

Ogień niemieckiej artylerii i moździerzy nieco ustał. Za to niemiłosiernie piorą niemieckie karabiny i spandawy z bunkrów. Co chwila z zupełnie nieprzewidzianego kierunku pada krótka śmiercionośna seria. Chwila ciszy. I z zupełnie innego kierunku nowa seria.

Znowu jeden z bunkrów zdobyty. Trzy trupy niemieckie. Znowu wzięto dwu jeńców. Jeden z nich rzuca się na ziemię, całuje but stojącego nad nim z Thompsonem kaprala. Byleby tylko do niego nie strzelać. Chce żyć. Powie wszystko. Rzuca się, błaga o litość. Powie wszystko.

Porucznik Ch. z trzema żołnierzami zdobywa następny bunkier. Załoga wybita granatami. Wyrzucają niemieckie trupy. Zajmują bunkier. Po kilku minutach, gdy porucznik Ch. chce się wychylić z bunkru, dostaje ogień elkaamu. Ogień wznowia się za każdą próbą wychylenia się z bunkru. Widocznie bunkier jest pod ostrzałem z innego, którego nie sposób wykryć. Porucznik Ch., zamknięty w zdobytym bunkrze, nie może go opuścić.

Rozchodzi się wieść o tym, że pułkownik ranny. Okazuje się, że pułkownik D. biegł do żołnierzy, którzy otoczyli Niemców. Potknął się na jakimś drucie. Upadł. To było jego szczęście. Drut był połączony z miną - która wybuchła, raniąc pułkownika w rękę i lekko w obie nogi.

Podchorąży Gaża Edward zauważył niemiecki bunkier. Odbezpiecza granat. Podnosi się. Chce rzucić. W tym momencie dostaje serię z karabinu przez pierś. Pada zabity z zaciśniętym w rękę niewybuchłym granatem.

St. strz. L. podczołguje się do jakiegoś rannego. Okazuje się, że to niemiecki kapitan. Prawdopodobnie dowódca kompanii. Chce go opatrzyć i nachyla się z opatrunkiem. W tym momencie ranny uderza go nożem. Sanitariusz pada. Wypadek widzą inni żołnierze. Nie mija minuta jak z kapitana niemieckiego zostają tylko strzępy.

Pułkownik D. zbiera dowódców kompanii. Wydaje szczegółowe rozkazy natarcia na wzgórze 575 i Balkon. Już wysłane patrole. Jest już południe.

-000-

STALIN CHCE PODYKTOWAĆ

WSCHODNIE MONACHIUM

Jeden z czołowych amerykańskich badaczy rosyjskiej historii i polityki, Wil-

lian Henry Chamberlin, ogłosił na łamach czasopisma "The American Mercury" obszerny artykuł na temat pretensji Rosji Sowieckiej do zaanektowania wschodniej części Polski, części Łotwy, Litwy i Estonii oraz części Finlandii. Z ciekawej tej pracy przytoczamy poniżej niektóre wyjątki, dotyczące spraw polsko-sowieckich, w przekonaniu, że jasne i otwarte wywody amerykańskiego uczonego zainteresują naszych czytelników.

Ani strzopka legalnych podstaw

Dla amerykańskiego uysku wyraz "Monachium" nabrak haniebnego znaczenia. Skojarzony z podyktowanym przez Hitlera układem, rozezłkonkującym Czechosłowację, wyraz ten naprowadza demokracjom sugestię słabości i bezużyteczności. Bowiem Monachium nie kupiło "pokoju naszych czasów", uzyskało ono tylko wątpliwe wytchnienie na okres mniejszy niż rok.

Należałoby sądzić, że gdy inny dyktator wydaje się przygotowywać potężną grabież ziemi, tym razem we Wschodniej Europie, stosując znane przedmonachijskie metody, opinia amerykańska zostanie rozbulzona i oburzy się. Na nie-szczęście rzecz ta przedstawia się inaczej. Przeciętny Amerykanin, jeśli nawet przeciętnie wykształcony, nie posiada znajomości historii, etnologii i międzynarodowych stosunków, panujących w Europie Wschodniej. A przypuszczono na niego huraganowy ogień propagandy na rzecz pretensyj terytorialnych Stalina.

Na tle bohaterkiej walki, jaką Polska prowadzi z tyranią nazistowską, na-przód zbrojnie, następnie metodami walki podziemnej, - kampania oczerniania Polski, prowadzona w różnych miejscach, jest hanbą dla amerykańskiego uysku i amerykańskiej "fair play". Istota rzeczy leży w tym, czy prawo i sprawiedliwość, zasady wcielone w Kartę Atlantyczką, oraz międzynarodowa moralność, za którą walczą Zjednoczone Narody - zostaną arbitralnie przez jeden z nich odrzucone na bok; i co będzie decydowało o granicach i rządach - negocjacje, czy też jednostronne arbitralne decyzje silnego.

Otoż jeśli idzie o fakty, dotyczące Polski, republik bałtyckich i Finlandii, to nie ma tutaj ani strzopka legalnych lub moralnych podstaw sowieckich pretensyj aneksjonistycznych. Pretensje te mogą być tylko popierane wyższością brutalnej siły.

Gotowy partner Hitlera

Polska lojalnie dotrzywała wiary swoim zobowiązaniom, zaciągniętym w pakcie nieagresji z ZSRR. Rząd polski trzykrotnie odrzucił wysunięte przez Hitlera propozycje kooperacji, opartej

na koncepcji oddania Niemcom terytoriów zachodnich, a uzyskania kosztami Rosji terenów na Wschodzie. Lecz kiedy Hitler przestawił swoją technikę agresyjną i zaproponował podział Polski Stalinowi, znalazł gotowego partnera. Jak tylko niemiecki najazd zżamał stos pacierzowy polskiego oporu, rząd sowiecki, nie szanując w najmniejszej mierze zobowiązań, tak często i ohotnie podejmowanych, posłał swe siły zbrojne do Polski wbrew protestom polskiego rządu.

Sowieckie rządy w Polsce, podobnie do rządów niemieckich w zachodniej połowie, były upiornym koszmarem. Ogromne ilości - nie tylko Polaków, lecz również Ukraińców, Żydów i Białorusinów - zostały stłoczone w bydłujących wagonach i wysłane do odległych obszarów Syberii i innych połaci Rosji; rząd polski na emigracji oficjalnie oszacował ilość zesłańców na półtora miliona.

Jasniejsze widoki na przyszłość narodu polskiego zdawały się otwierać po najjeździe Hitlera na Rosję w czerwcu 1941 r. Rozbiór sowiecko-niemiecki został oficjalnie odrzucony w polsko-sowieckim układzie z 30 lipca 1941 r., który m.in. rzeczami stwierdzał, że "rząd ZSRR uznaje za nieważne i niebyłe sowiecko-niemieckie traktaty z 1939 r., dotyczące zmian terytorialnych w Polsce."

Błąd dyplomacji amerykańskiej

Stalin nie wyrażał żadnych wątpliwości ani zastrzeżeń, w okresie kiedy jego sytuacja była słaba, co do legalności i zdolności reprezentowania emigracyjnego rządu polskiego, z którym zawarł unowę. Jest rzeczą bardzo niefortunną - co zresztą należy uznać za kardynalny błąd dyplomacji amerykańskiej - że nie było żadnych wysiłków, zmierzających do powiązania transportów wysyłanych do Sowietów na zasadzie Lend-Lease ze specjalną obietnicą Stalina dotrzymania przez niego wielokrotnie danego słowa z włączeniem trzech pierwszych klauzul Karty Atlantyczej, do której Stalin należy, ze szczególnym potępieniem planów zaborczych.

Byłaby to bardzo tania cena, jaką miałby zapłacić dyktator sowiecki za amerykańską pomoc, której wartość można wymierzyć różnicą między klęską a zwycięstwem jego w wojnie z Niemcami. Wszystko co można powiedzieć na usprawiedliwienie amerykańskiej dyplomacji, to - że rząd nasz nie mógł nawet przewidywać takiej ewentualności, by Stalin mógł dążyć do pokłnicia sąsiednich krajów.

Sowiecka postawa wobec Polski stawała się coraz bardziej wroga w miarę jak poprawiała się pozycja wojskowa Rosji. Polskie wysiłki formowania realnej armii na rosyjskiej ziemi były systematycznie sabotowane, aż ostatecznie armia ta pod

dowództwem gen. Andersa musiała być przeniesiona na Bliski Wschód. Co jest najbardziej zadziwiające - to, że sowieckie obywatelstwo zostało w dniu 16.1.1943 r. arbitralnie narzucone wszystkim deportowanym ze Wschodniej Polski, w wyniku czego zostało "zdobytch" około miliona obywateli innego narodu.

Rząd sowiecki coraz śmielszy

Stając się śmielszym w miarę tego, jak jego arbitralna akcja nie napotykała na skuteczną dyplomatyczną opozycję ze strony Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, rząd sowiecki zarwał dnia 26 kwietnia 1943 r. stosunki dyplomatyczne z rządem polskim. Zostało to dokonane przy akompaniamencie ordynaryjnych obelg.

Pretekstem do tego niespotykanego rozłam w jedności narodów zjednoczonych przeciwko Hitlerowi był apel rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o bezstronne zbadanie tajemnicy zaginięcia 2,300 polskich oficerów, o których ostatnio słyszano, że przebywali w trzech sowieckich obozach jeńców.

Niemcy stwierdzili, że ciała tych oficerów zostały znalezione w lesie pod Smolenskiem. Faktem jest, że usiłowania wyjaśnienia losu tych oficerów, będących we władzy Sowietów, nie dały wyników przez okres prawie trzech lat. sowieckie władze nie dały jasnego lub przekonującego wyjaśnienia, co stało się z zaginionymi ludźmi, mimo osobistej obietnicy Stalina, danej generałowi Sikorskiemu, że zbada tajemnicę.

Istotne cele polityki sowieckiej w stosunku do Polski stawały się jaśniejsze w miarę tego, jak mała służalcza grupa polskich komunistów i pokrewnych elementów, jak najniewłaściwiej nazwana związkien polskich patriotów, z zarządzeniem w Moskwie, zaczęła wysuwać się na czoło sowieckiej propagandy. Ostatnie wypadki tkwią świeżo w pamięci. Deklaracja sowiecka z 11 stycznia, sugerująca linię Curzona jako nową granicę, drwiła z polskiego rządu, jako "niezdolnego do ustalenia przyjaznych stosunków ze Związkiem Sowieckim." Apel polskiego rządu o przedyskutowanie wszystkich ważniejszych kwestii na konferencji czterech mocarstw z udziałem W. Brytanii i St. Zjednoczonych został przez Stalina szorstko odrzucony. Brytyjskie i amerykańskie wysiłki, zmierzające do załagodzenia, zostały zignorowane. Poprzez złośliwy atak na Willkie'go Moskwa dostarczyła jasnych dla wszystkich dowodów, że projektowane we Wschodniej Europie grabieże uważa za sprawę "domową". Polska, naród który pierwszy podjął walkę z Hitlerem, została potraktowana przez rząd sowiecki jak podległe państwo kolonialne.

Gloryfikacja cynizmu i wiarołomstwa

Obecnie, jak w dniach Monachium, ludzie usypiający opinię wyjaśniają, że napastnik jest zbyt silny, aby mógł być zatrzymany. Może to i prawda, aczkolwiek W. Brytanii i St. Zjednoczone prawdopodobnie nie doceniają swej ekonomicznej i dyplomatycznej potęgi. Lecz jeśli nawet nie można przeszkodzić sowieckim grabieżom, to nie ma żadnego wytłumaczenia, dlaczego ten stan rzeczy ma być ukrywany przed narodem amerykańskim, albo co gorsza, dlaczego konferencje w Moskwie i Teheranie mają być przedstawiane jako wielkie i wspaniałe osiągnięcia w tych sprawach.

Bardziej nieszczęsnym widowiskiem aniżeli to wschodnio-europejskie Monachium jest szeroko rozpowszechniona tendencja, by cyniczną i wiarołomną polityką Stalina akceptować, usprawiedliwiać, a nawet gloryfikować.

Nastrojona zgodnie fala błędnych informacji, dotyczących tych krytycznych spraw, przypomina prawie robotę dr Goebbelsa. Doszło to do szczytu szczególnie w t.zw. liberalnych kołach amerykańskich, gdzie sympatia dla ideałów samostanowienia i szacunek dla narodowych zobowiązań traktowane są jako rodzaj chytrej roboty piątej kolumny.

Intelektualne źródła tych fałszywych informacji są różne. Wprawna ręka komunistów i towarzyszy rozpoznaje się łatwo. Jest ponadto kategoria osób, które żądają ślepej wiary we wszystko, cokolwiek administracja zrobi w sprawach zagranicznych. Można również zauważyć, prawdopodobnie jako jedną z form cięższej wojennej kontuzji i wyrzucenie się rozumowania, jakąś dziwną wiarą mistyczną, że jeśli tylko dostatecznie zaufamy Stalinowi, to cokolwiek on zrobi, będzie na wieki szczęśliwi. Im więcej Stalin podrywa nasze zaufanie, tym więcej naszych publicystów i mówców stanu nastaje na ślepe, nieme i głuche hołdowanie takiemu zaufaniu.

Jak "zniekształca się" opinia

Szczupłość miejsca pozwala nam tylko na cytowanie kilku najbardziej oburzających fałszywych twierdzeń, używanych w kampanii zniekształcania alianckiej opinii, mającej akceptować biernie, a nawet entuzjastycznie, cokolwiek Stalin zrobi w Europie Wschodniej. A więc przede wszystkim, zwykle dobrze poinformowany "Times" (czołowy ojciec chrzestny pierwszego Monachium) drukuje historycznie jaskrawy błąd, że bolszewicy nie mogli w Rydze oprzeć się polskim żądaniom, a to z powodu "groźnego niebezpieczeństwa ze strony Wrangla". Biała armia Wrangla została zgnieciona i wypędzona z rosyjskiej ziemi w listopadzie 1920 r., więcej aniżeli 4 miesiące przez podpisaniem pokoju

w Rydze.

Dorothy Thompson opowiada swoim czytelnikom, że "W. Brytania traktatem z 1939 r. zobowiązała się przywrócić niepodległą Polskę z jej przedwojennymi zachodnimi granicami." Po przestudiowaniu traktatu widzieli, że nie zawiera on takich rozróżnień pomiędzy zachodnimi a wschodnimi granicami jak to p. Dorothy Thompson rozumie. Jakikolwiek są zobowiązania brytyjskie, odnoszą się one w równej mierze do obu granic Polski.

"New Republic" przynosi obserwacje tak głęboko fałszywe i nierzetelne, że nawet człowiek odporny na salto mortale myśli "liberalnej" doznaje wzdrygnięcia:

"Obecnie istnieje mocna podstawa do wierzenia, że Rosjanie wezmą wraz z nami udział w budowaniu szerokiej organizacji międzynarodowego bezpieczeństwa. Lecz koniecznym warunkiem potemu jest, by sami oni nie odczuwali niebezpieczeństwa... A charakter obecnego polskiego rządu jest tak reakcyjny..."

Z powyższego możnaby sobie wyobrazić, że to właśnie Polska napadła na Związek Sowiecki, zaanektowała niemal połowę jego terytorium, wprowadziła więcej niż milion jego mieszkańców, zorganizowała podstawiony rząd, aby go sąsiadowi narzucić. Czy ktokolwiek uczciwie myślący mógłby wątpić - na tle faktycznych wydarzeń i na tle nierówności między polską a sowiecką potęgą militarną - który z obu krajów ma więcej powodów do odczuwania niepewności co do zamiarów i planów sąsiada?

W związku z twierdzeniami propagandy sowieckiej o "reakcyjność" rządu polskiego, powiedzcie wypada, że gdyby nawet rząd polski był reakcyjny i nie-liberalny według zachodnio-demokratycznego wzorca, to nigdy nie zbliżył się on nawet do poziomu terrorystycznej dyktatury Stalina. Rozważmy sprawę Henryka Ehrlicha i Wiktora Altera. Jako żydowski socjaliści, nie byli oni "personae gratae" dla ludzi, którzy rządili Polską; jednak ci dwaj ludzie byli członkami polskiego parlamentu i wyjeżdżali zagranicę na międzynarodowe konferencje. Jaki los spotkał tych demokratycznych socjalistów we władzy G.P.U. Stalina? Z rąk sowieckich a nie polskich oprawców zginęli Ehrlich i Alter.

Bzdury na temat bezpieczeństwa

Twierdzenie, że Wschodnia Polska i państwa bałtyckie są niezbędne dla bezpieczeństwa Związku Sowieckiego, jest moralnie nie do przyjęcia, zaś merytorycznie błędne. Gdyby każde silniejsze państwo miało anektować mniejsze i słabsze kraje, tłumacząc to giętką zasadą bezpieczeństwa, zapanałaby nieograniczona grabież ziemi na

całym świecie. Należy pamiętać, że Rosja żyła bez tych ziem przez prawie 20 lat; że aneksja tych ziem nie przeszkodziła Niemcom w zajęciu w roku 1941 ogromnych obszarów Rosji. Sowiecka grabież opóźniła nowoczesną zmechanizowaną machinę wojenną zaledwie o kilka dni, a są eksperci wojskowi, którzy twierdzą, że pozycja strategiczna Stalina doznała przez tę aneksję pogorszenia. Choćby nawet argument "bezpieczeństwa" miał jakieś znaczenie i wagę za czasów naszych przodków, to przecież jest on absolutnie niedorzeczny w epoce wojny powietrznej, kiedy jeszcze paręset mil nie odgrywa najmniejszego znaczenia.

Można przeszkodzić drugiemu Monachium!

W związku z moralnymi następstwami, wynikającymi z pogwałcenia Karty Atlantycznej we Wschodniej Europie, naprośno czeka się na głosy naszych wielkich, moralizujących, liberalnych przywódców opinii publicznej. Dotychczas, jeśli głosy takie są wyrażane, to mówią one w dziwnych uwagach o ostrożnym izolacjonizmie, o cynicznej polityce mocarstw i o krótkowzrocznym amatorskim nadławielizmie. Co stało się z ich poprzednimi wierzeniami, że "bezpieczeństwo" należy tworzyć przez organizowanie świata dla stłumienia agresji, a nie przez jednostronne grabież ziemi?

Najlepszą rzeczą, jaką należy zrobić w przypadku gdy stajemy przed "Monachium", jest według nas nazwanie tego zjawiska po imieniu. Tylko w ten sposób możemy zapobiec strasznej rozczarowaniu naszego narodu i uratować nabeo okrucich szacunku dla świata. Bo złudzeniem jest nadzieja, że jakikolwiek napastnik może być powstrzymany uległością. Każdy mały kraj na wschód od Renu będzie widział w złożeniu ofiary z Polski i republik bałtyckich śmiertelne ostrzeżenie, i pospieszy przedłożyć własne warunki kapitulacji.

Defetyzmem byłoby przypuszczać, że nie można przeszkodzić drugiemu Monachium. Brytyjsko-amerykańska potęga argumentów dyplomatycznych wobec Rosji nie została całkowicie wyczerpana.

-oO-

AMERYKAŃSKIE BAZY LOTNICZE W SOWIETACH

Opublikowana tydzień temu wiadomość o zbudowaniu na terytorium Zw. Sowieckiego amerykańskich baz dalekiego zasięgu i o stworzeniu specjalnego amerykańskiego "Eastern Command" (Dowództwa Wschodniego) dla operacji z tych baz, może mieć niezwykle ważne znaczenie zarówno militarne jak i polityczne w okresie, kiedy natężenie wojny w Europie zbliża się do zenitu.

Jeżeli chodzi o znaczenie militarne, to już od r. 1942 zarówno stratedzy wojny lotniczej, jak i politycy i publicyści wypowiadali się za koniecznością wzię-

cia Rzeszy "w dwa ognie", t.j. - jednoczesnego bombardowania wojskowych, przemysłowych i komunikacyjnych obiektów niemieckich z zachodu i wschodu. Dla bombardowania z tego ostatniego kierunku słabe ilościowo sowieckie lotnictwo bombardujące nie nadawało się zupełnie.

Jakkółwiek uzyskanie przez Aliantów jesienią 1943 r. baz w południowych Włoszech umożliwiło rozpoczęcie bombardowania "europejskiej fortecy" również z południa - to sprawa możliwości atakowania ze wschodu, a więc wzięcia Niemiec już "w trzy ognie" nie straciła na znaczeniu.

Przeciwnie, kiedy Bałkany stały się terenem wojny lądowej, a przede wszystkim powietrznej, konieczność ta stała się jeszcze bardziej imperatywna. Wynika to przede wszystkim z przyczyn technicznych. Bombowce, wylatujące z baz włoskich, których większość sytuowana jest w okolicach Foggii, jeżeli mają za zadanie bombardowanie np. Ploesti, muszą przelociec około 1000 km w jedną stronę. Droga powrotna jest najniebezpieczniejszym etapem lotu. Przede wszystkim dlatego, że lotnictwo niemieckie nieprzyjaciela dopada bombowce najczęściej na ich drodze powrotnej. Następnie z tego powodu, że trzeba przelatywać dwukrotnie na trasie, na której warunki atmosferyczne są często bardzo trudne.

Nowe bazy, położone "gdzieś w Rosji" a jeśli chodzi o te, na których lądowały po raz pierwszy samoloty amerykańskie - "gdzieś na południowej Ukrainie", są odległe od Ploesti o mniej więcej 500 km.

Dzięki tedy zastosowaniu taktyki "bombardowania w przelocie" ogólna trasa podróży bombowca skraca się w tym wypadku o całe 25%, co ma kolosalne znaczenie zarówno z tego względu, że samolot, zabierając mniej paliwa, może zabrać większy ładunek bomb, oraz ze względu na znacznie zwiększone bezpieczeństwo lotu. Bezpieczeństwo to wynika nie tylko stąd, że warunki atmosferyczne w przestworzach między Rumunią a Ukrainą są bez porównania bardziej sprzyjające niż warunki na Bałkanach. Jako dodatkowy plus trzeba zapisać również fakt, że krótsza trasa powrotu - to zmniejszenie możliwości ataku ze strony nieprzyjacielskich myśliwców, do czego dochodzi jeszcze i ta okoliczność, że myśliwce z baz rosyjskich mogą wylatywać naprzeciw nadlatującym bombowcom i ochraniać je przed nieprzyjacielami.

Inną wielką zaletą alianckich baz lotniczych (nawet "alianckich", bo nie wiadomo, czy wkrótce nie dowiemy się, że oprócz baz amerykańskich powstały tam

również bazy RAF'u) w Zw. Sowieckim jest to, że istnienie ich powoduje zupełną dezorientację niemieckiej obrony przeciwlotniczej co do każdorazowych zamiarów danej grupy alianckich eskadr bombowych.

Nie należy bowiem sądzić, że możliwości alianckie ograniczają się jedynie do przelotów na trasie Włochy-Rosja lub odwrotnie. Już od czasu konfiscacji moskiewskiej, na której - jak wiadomo już było oddawna - zapadły decyzje stworzenia tych baz, wiele mówiono o przelotach bombowców na trasie Anglia-Rosja. Ta trasa ma takie samo znaczenie i plusy dla bombardowania obiektów we wschodnich Niemczech (dokład, jak wiadomo, zostało przeniesione gros niemieckich zakładów przemysłowych), jak trasa Włochy-Ukraina dla bombardowania Rumunii, Węgier i Bułgarii. Ale to bynajmniej nie wyczerpuje jeszcze wszystkich możliwości - zostaje jeszcze trzeci, może najprostsz y wariant: poprostu bombowce wylatują z baz rosyjskich i do nich powracają. W tym wypadku trasa lotu z baz ukraińskich do Ploesti i z powrotem wynosi śmiesznie mało, jak dla współczesnego wielkiego bombowca, bo zaledwie 1000 km. Z ewentualnych baz na zajętych obecnie przez Czerwoną Armię ziemiach polskich trasa lotu w obie strony do Wrocławia wynosi około 1300 km, czyli dokładnie to samo, co trasa lotu Anglia-Wrocław w jedną stronę. A przecież ta wielka odległość uchroniła dotychczas południowo-wschodnie Niemcy od bombardowania. Jeżeli chodzi o lot do Królewca, to z baz we wschodniej Polsce odległość jest niemal o 60% krótsza niż z Anglii. Łatwo zrozumieć, jakie z tych porównań wynikają możliwości przy zastosowaniu nowych baz rosyjskich przez lotnictwo alianckie.

Ale ważność tych baz nie ogranicza się jedynie do względów strategicznych. Posiadają one również doniosłe znaczenie polityczne. W ostatnich czasach wiele mówiono o podziale świata na strefy wpływów wielkich mocarstw. W tym podziale wyznaczano oczywiście Europie Wschodniej rolę strefy wpływów sowieckich, i to na prawach wyłączności. To prawo było w tym, że w tym zakątku świata jedyną realną siłą, która może pokonać armię Hitlera, jest armia sowiecka. Do ustanowionego dzięki temu systemowi myślenia porządku - amerykańskie bombowce na rosyjskich lotniskach wprowadzają pewną poprawkę. Są one dowodem, że we Wschodniej Europie nie tylko czerwona armia jest elementem, który na swój ciężar gatunkowy, lecz taką samą rolę gra już dziś również lotnictwo amerykańskie, a jutro może również i brytyjskie. To oczywiście musi w prostej linii prowadzić do uznania faktu, że losem tej czę-

ści świata nie będzie mogło dysponować tylko jedno mocarstwo, ale wszystkie Zjednoczone Narody. Jednocześnie przysłała mi, jakoby wschodnia Europa była częścią świata, dla interesów amerykańskich i brytyjskich najmniej ważną. Skoro się tam posyła tysiące bombowców, dziesiątki tysięcy lotników oraz niezliczone ilości sprzętu i zaopatrzenia, to tereny te... zaczynają interesować. A jak ktoś słusznie zauważył, bombowiec może torować drogę samolotowi komunikacyjnemu, a ten skolei ekspansji ekonomicznej.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Bazy lotnictwa alianckiego w Rosji niewątpliwie żywo obchodzą i Japonię, co może się odbić na całokształcie stosunków sowiecko-japońskich.

-000-

REHABILITACJA FRANCJI

Wspaniałe sukcesy Armii Polskiej we Włoszech jeszcze raz uświadomiły Niemcom - i z bardziej niż kiedykolwiek bolesną dla nich wyrazistością - że narody naprawdę godne tego miana są w pewnym sensie n i e z w y c i ę ż a l i n e, t.j. że, nawet pozbawione niezawisłości politycznej, wyznaczone z urzędowej karty świata, poddane najśroźszym prześladowaniom - nie przestają walczyć i manifestować swój udział w walce ciężkimi ofensywnymi, zadawanemu pozorom zwycięzcy.

Ta pogłębiona lekceja zaaplikowana została w taki sposób, by mogła przeniknąć do ciężkich mózgów niemieckich. Bo oto drugi naród, godny tego miana - naród francuski - wybitnymi osiągnięciami swej odrodzonej armii w tejże kampanii dał świadectwo prawdziwe, że nie jest zwyciężony i że walczy nadal.

Rehabilitacja Francuzów

Powiedzmy sobie, że ta druga lekceja ma wymowę jeszcze bardziej wyrazistą. Polacy nie przestali walczyć ani na chwilę. W żadnym momencie nie uznali się za zwyciężonych i żadnymi unowami ze "zwycięzcą" nie budzili w nim złudzeń, że sprawa została zakończona.

Inaczej z Francją. Niemcom istotnie mogło się wydawać, że sprawa z tym krajem została definitywnie załatwiona w duchu ich życzeń. W przeciwieństwie do Polaków - Francuzi, a przynajmniej ich część, pogodzili się z klęską, zawarli z Niemcami umowy, poszli z nimi na współpracę - nawet bardzo haniebną współpracę. Nazwiska Laval, Pucheu, Henriota, Darmanda - dość wyraźnie symbolizują ten smutny, choć niewątpliwie przelotny triumf Niemców.

I oto naprzekór wszystkiemu, Francja walcząca daje coraz głośniejsze dowody

heroizmu w otwartych działaniach frontowych na linii frontu. To Bir Hakein, które było już wielkim osiągnięciem, przysłały rzeczywiste triumfy ofensywy obecnej. Ten dawno zapomniany - ten podziwu i admiracji, którym sławiono triumfy oręża francuskiego w tamtej wojnie - pojawia się znów w opisach obecnych czynów armii francuskiej.

Tonący chwytają się brzytwy

A wewnątrz kraju, we Francji okupowanej przez Niemców i ich francuskich fagaśców, wro również walka, głucha, zacięta, bezwzględna, nieustająca. W niarę jak przedłuża się wojna, jak uprawdopodobnia się idea inwazji, jak rośnie nadzieja wyzwolenia - zwiększa się aktywność patriotyczna Francuzów, którzy nie przestali nimi być - i potęguje się zaciętość tych, którzy stali się Niemcami, mówiący po francusku. Reżim krwawego zbira Darmanda w ciągu sześciu tygodni zagnał w kazernty trzy tysiące opornych na obywateli, trzystu śmiertelnie ukarał za zbrodnie przeciw Niemcom popełnione.

Dziwny paradoks. W momencie, gdy już nikt we Francji w zwycięstwo Niemców nie wierzy, "legalny" rząd tego kraju coraz bezwzględniej angażuje się na drodze "współpracy", coraz ściślej wypełnia instrukcje Berlina, coraz srożej prześladowuje opornych. I coraz nikczamsze są metody, przy pomocy których Vichy realizuje swe "ideały" polityczne. Masowe deportacje robotników, morderstwa i rabunki, kłanliwa propaganda, fałszywe pisma nielegalne, prowokowanie wystąpień przez agentów, upozorowanych na ludzi podziemnych - to tylko drobna część repertuaru środków, którymi "legalny" rząd Vichy próbuje utrzymać się u władzy.

Ludzie Vichy wiedzą, że są straceni. Stoi przed nimi ponure widno Pucheu, rozstrzelanego niedawno w Algierze z wyroku sądu za przelaną krew ludzi, których zbrodnią było to, że nie chcieli przestać być Francuzami. Ale drogi odwrotu dla ludzi Vichy nie ma. Laval może o sobie powiedzieć, jak tragiczny bohater szekspirowski:

"sam wiem o tym, ale tak się w krwi zaszerzył,

że grzeszne czyny nowym grzeszonym
ozymem

wybijają muszę, jak klin nowym klinem".

Czy Francja się skończyła?

Dla nas Polaków rehabilitacja Francuzów na polach bitew i wewnątrz kraju jest rzeczą szczególnie radośną.

Zawsze wzbraniałiśmy się przyjąć tezę, że naród francuski się skończył. Ze sceptycznym traktowaliśmy pesymistyczne horoskopy na temat przyszłości Francji, jak owo słynne proroctwo marszałka Sautsa, który tak przecież niedawno, kreśląc wizję świata powojennego, wyznaczył w nin

Francji rolę jakiegoś nieodzownego kra-
ju. Wydawało nam się niemożliwe, by
wspaniały naród francuski, ten, z które-
go wienien związane są najpiękniejsze
wzloty cywilizacji, mógł być przesunięty
na peryferie historii i skazany na trwa-
nie w tej roli - czy raczej bez roli -
na zawsze.

Takie prorocтва - które słyszy się
również, choć coraz rzadziej w środowis-
kach polskich - napewno nie znajdują sank-
cji historii. Nie podpisze się pod nimi
nikt, kto wierzy w przyszłość świata.
Bo bez Francji świat byłby ciemny i ubo-
gi. Powiedziano kiedyś, że każdy czło-
wiek ma dwie ojczyzny; swą własną i
Francję. Było to prawdą w stosunku do
przeszłości. Nie może się okazać w sto-
sunku do przyszłości.

Prezydent Roosevelt i premier Chur-
chill w wystąpieniach ostatnich rozto-
czyli przed Francją przyszłości dobre
perspektywy. Churchill powiedział, że
bez Francji nie ma równowagi politycznej
Europy. Stwierdzenie to jest prawdziwe
poprostu dlatego, że bez Francji nie ma
wogóle Europy.

Przymierze, które przetrwało wieki

Polacy mają wszelkie powody - i do-
raźnie polityczne, i historyczne, i kul-
turalne, i nawet uczuciowo-osobiste -
pragnąc, aby zapowiedzi wodzów narodów
anglosaskich znalazły pełne urzeczywist-
nienie. Wyrażenia "tradycyjna przyjaźń",
"odwieczne węzły" - są wyświechtane i
niezdolne, ale, jeżeli kiedykolwiek od-
powiadały jakiejś istotnej treści, to
chyba w wypadku Francji i Polski.

Formalnie związani jesteście sojuszem
z r. 1921. Faktycznie jednak współpra-
ca trwa o 350 lat dłużej, bo od roku
1573, roku zawarcia "wiecznego przymie-
rza", snującego się istotnie poprzez
wieki, poprzez czasy Jana III, Stanisła-
wa Leszczyńskiego, Konfederacji Bar-
skiej, Sejmu Czteroletniego, ks. Józefa,
Adama Czartoryskiego, poprzez Komitet
Narodowy czasu ostatniej wojny, aż do
roku 1939, gdy Francja, wypełniając so-
jusz, stanęła przy boku Polski.

W nieszczęśliwym razie

Wszystko nas z Francją łączy - a cóż
nas z nią rozdziela? Był taki moment
podczas tej wojny, gdy nad tą pdwieczną
przyjaźnią zawisł jakby cień. Rozpacz
przegranej, uświadomienie słabości, żal,
że nie umieliśmy skutecznie przeciwsta-
wić się wrogom - wylały się we wzajem-
nych rekryminacjach, pełnych goryczy.

To nas przez chwilę rozdzielało, ale
nie rozdziela teraz. To nas teraz łą-
czy, jak nas łączy klęska, poniesiona od
wspólnego wroga, jak nas łączy nieustę-
pliwa walka z wrogiem, jak nas łączy
krew, przelana wspólnie w ziemi włoskiej
- teraz i wtedy, jak nas łączy wiara w

promienną przyszłość i trwanie "wieczno-
go przymierza".

I jeszcze jedno nas łączy: ciemniowa
droga, jaką im i nam sądzone jest iść ku
lepszemu jutru. Nasza sytuacja na tej
drodze jest o tyle lepsza, że mamy legal-
ny, prawowity, oparty o konstytucję rząd
związany z rządami poprzedzającymi ele-
mentem ciągłości. Francuski Narodowy
Komitet Wyzwolenia z generałem de Gaulle
rządem pełnoprawnym nie jest i nie może
uzyskać uznania w tym charakterze przez
państwa sojusznicze. Beznierna waga po-
siedzenia pełnoprawnego rządu w takiej sy-
tuacji, jak obecna, jest rzeczą aż nadto
oczywistą. Walki toczą się już w grani-
cach Rzeczypospolitej Polskiej, walki
toczą się n a d ziemią francuską.
zanim przeniosą się n a ziemię fran-
cuską.

Szczęśliwa Francja!

Francja jest dziś najsilniej po Niem-
czech bombardowanym krajem świata. Bez-
cenne pomniki wiekowej kultury walą się
w gruzy. Katedra w Chartres została
dotkliwie uszkodzona. Niemcy przeobraża-
ją najdroższe zabytki architektury
w koszary i magazyny, licząc, że może w
ten sposób zmuszą Aliantów do mniej bez-
względnych form walki. Oczywiście czeka
ich rozczarowanie. Zabytki przeszłości
obrócone będą w perzynę, a Francuzi
przyjmą tę stratę ze spokojną rezygnacją,
jak ofiarę, poniesioną w imię wartości
nieskończenie cenniejszych.

Godni zazdrości Francuzi! Ci, co sie-
ją z niebios zniszczenie, ci, co pewnego
dnia spadną na spaloną ziemię - to ci,
co dadzą na gruzach strzaskanych domów
wzniesić nowy gmach wolności. Dzień już
bliski, gdy p r z y j a z n e wojska
inwazyjne wylądują na ziemi francuskiej.
Lawałe znikną, jak złe wspomnienie, a
milionowe rzesze p r a w d z i w y c h
Francuzów podejmą pracę organizowania
wolności.

Bo, jak pięknie powiedział zamęczony
przez Niemców Prezydent Herriot: "Wol-
ność nie może umrzeć w kraju, w którym
się narodziła."

-000-

O D R E D A K C J I

Materiał redakcyjny, zawarty na stro-
nach od pierwszej do ósmej naszego dzi-
siejszego dodatku tygodniowego, przygo-
towany został do druku przed nadejściem
wiadomości o inwazji, w czym czytelnicy
mogą się zorientować bodaj z końcowego
ustępu ostatniego artykułu.

Po nadejściu wieści o lądowaniu Sprzy-
mierzonych w Europie powiększyliśmy nasz
dodatek o dwie dalsze strony.

PIERWSZA FIZJA INWAZJI

Zadna operacja wojenna w historii świata nie była przed jej rozpoczęciem tak długo i wszechstronnie omawiana, jak inwazja europejskiego kontynentu.

Oczywista, że lwia część tego zainteresowania dotyczyła zawsze daty i miejsca inwazji. Dziś, kiedy te operacje już się rozpoczęły, niewątpliwie te same pytania nadal interesują opinię publiczną. Dlaczego inwazja zaczęła się właśnie teraz i dlaczego właśnie w tych a nie innych punktach?

Nie sposób zaprzeczyć, że istnieje ścisły związek między zdobyciem przez armie gen. Alexandra Rzymu, a rozpoczęciem ataku przez wojska gen. Eisenhowera. Jak to już tylkrotnie powtarzano - wojna współczesna jest zarówno wojną sprzętu i maszyn, jak wojną mózgów, serc i nerwów. Upadek Rzymu był silnym zastrzykiem wątpliwości, wlewnym w żyły niemieckiego "panzergrwadiera", stojącego na straży "muru atlantyckiego" - był również pożegnalnym zastrzykiem otuchy dla alianckiego spadochroniarza czy komandosa. Z drugiej strony jest na to wiele dowodów, że przybliżony termin inwazji ustalony został już 1/2 roku temu na konferencji w Teheranie. Zatem, bez obawy popełnienia większej pomyłki, można stwierdzić, że oddawna już rozpoczęcie inwazji planowane było na pierwszą połowę czerwca, zaś pomyślny przebieg wypadków na froncie włoskim był ostatecznym czynnikiem ustalenia ścisłej daty rozpoczęcia operacji. A więc mamy tu przykład doskonałej kombinacji elementów długiego planowania, gdzie pod uwagę wzięte zostały względy takie jak np. ukończenie koncentracji wojsk, sprzętu i zaopatrzenia, najkorzystniejsze warunki atmosferyczne (te zresztą na kanale La Manche najtrudniejsze do przewidzenia) z elementami chwili - par excellence psychologicznymi.

Jak wytknąć wybór odcinka, na którym Sprzymierzeni dokonali desantu? W ciągu ostatnich 2 lat słyszeliśmy na ten temat tyle przepowiedni - nie było ani jednego alianta kontynentalnego wybrzeża, któryby dla tych czy innych względów nie był typowany jako "pewniak", jako najdogodniejsze miejsce, na które dokona się "skok na kontynent."

Zatoka Sekwany, t. j. wciskający się w głąb lądu francuskiego żuk między Cherbourgian a Hawran, leży akurat na przeciw południowego wybrzeża Anglii, i to zapewne zdecydowało o wyborze terenu dla pierwszego uderzenia. Wymienione bowiem wybrzeże angielskie było miejscem głównej koncentracji alianckiej floty inwazyjnej. Dzięki

się, to dlatego, że wybrzeże to w znacznie mniejszym stopniu narażone jest na wizyty niemieckich bombowców i samolotów wywiadowczych niż wybrzeże zachodnie, nie mówię już o tym, że niektóre odcinki tego ostatniego są w zasięgu niemieckiej artylerii nadbrzeżnej (np. rejon Dover). Ponadto potężna armada inwazyjna musiała mieć dostateczny obszar wód w momencie operacji. Gdyby celem głównego ataku było francuskie wybrzeże Pas de Calais, w którym to miejscu kanał La Manche jest, jak wiadomo, najwęższy (21 mil), to kilka tysięcy okrętów i barck inwazyjnych po prostu nie zmieściłoby się na wąskiej przestrzeni morskiej.

Je to jest tylko połowa zagadnienia. Teoria desantu każe zawsze dążyć w pierwszym rzędzie (taktyczny cel inwazji) do zagarnięcia portów, które posiadają korzystne warunki masowego przeładunku ludzi, sprzętu, zaopatrzenia. Jest to warunek sine qua non powodzenia następnej fazy - strategicznej, polegającej na zdobywaniu danego kraju. Najlepszym portem na zachodnim wybrzeżu Francji jest bezwzględnie Cherbourg. Najlepszym dlatego, że największe statki oceaniczne (jak np. "Normandie" czy "Queen Mary") mogą podpływać do samych nadbrzeży, czego nie ani w Hawrze ani w żadnym innym pobliskim porcie. Łatwo zrozumieć, jakie te zalety cherbourskiego portu stwarzają możliwości do szybkiego i masowego przeładunku tysięcy "Shermanów" czy "buldozerów" (dzięki na podwoziach czołgowych). A zatem bitwy o Bayeux czy Caen to przede wszystkim bitwa o Cherbourg.

Trzeba pamiętać, że nowoczesna strategia wojenna nakazuje zdobywać dany obiekt nie atakami nań bezpośrednio, lecz sposobem izolowania go. Caen i Bayeux leżą na głównych drogach - kolejowych i szosowych - z Paryża do Cherbourga. Po tych właśnie drogach płynąć musiałyby niemieckie główne siły na odsiecz Cherbourga. Temu samemu celowi izolacji służy desant lotniczy na drodze Valognes-Garentan, będącej również odcinkiem głównych dróg z głębi Francji do Cherbourga. Ta operacja jest klasycznym przykładem celów desantów powietrznych. Podobne znaczenie ma zresztą szereg innych desantów powietrznych dla opanowania ważnych mostów.

Niewątpliwie pierwszym etapem planów gen. Eisenhowera jest odcięcie półwyspu normandzkiego od głównych sił niemieckich, od t. zw. rezerw strategicznych Rundstedta czy Romla. Wówczas zdobycie Cherbourga będzie stosunkowo łatwe. W świetle tych zadań wszystkie inne dotychczasowe operacje desantowe mają charakter zadań drugorzędnych, a przede wszystkim dywersyjnych. Pracując jeszcze do miasta Caen, które w chwili, kiedy piszemy te słowa, jest już zdobyte przez wojska sojuszników, to

punkt ten może w przyszłości odegrać b. ważną rolę w bitwie o Francję. Przede wszystkim Caen łączy z Paryżem (odległość 180 km) szereg doskonałych dróg, biegnących na całej swej długości przez równiny, i w tych warunkach ta spokojna miejscina normandzka, stolica departamentu Calvados (słynnego przede wszystkim z doskonałej wódki tej samej nazwy) może stać się bazą wyjściową do ataku, mającego na celu wyzwolenie nadsekwaniańskiej stolicy spod cienia swastyki.

Ponadto jednak np. z Caen wyjść atak w innym kierunku. Jakkolwiek bowiem cechą charakterystyczną francuskiego systemu komunikacyjnego jest okoliczność, że główne linie kolejowe i szosy zbiegają się w Paryżu, to jednak sieć dróg bocznych jest również b. bogato rozwinięta. Mimo iż główne drogi z Caen prowadzą na wschód, to również jest to dość dobra sieć dróg na południe - w stronę Bretanii i Loary. To stwarza nowe wielkie możliwości, które niewątpliwie grają poważną rolę w planach sztabu gen. Eisenhowera.

Są to możliwości szybkich zagonów wojsk zmotoryzowanych - odcięcia Bretanii, a później całego wybrzeża Atlantyku, a jeszcze w dalszej przyszłości marsz ku granicy hiszpańskiej, ku portom morza Śródziemnego, ku granicy włoskiej.

Ale nie należy wybiegać zbyt daleko w przyszłość. Jesteśmy dopiero w pierwszej fazie inwazji na "europejską fortecę", której osławione mury okazały się bardzo... elastyczne. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

-oOo-

WRÓG JESZCZE NIE ODEZWAŁ SIĘ...

Podajemy poniżej artykuł pióra Veritasa, pod którym to pseudonimem ukrywa się rzecznik brytyjskiego ministerstwa informacji:

"Stoiły obecnie w obliczu niebezpieczeństwa, polegającego na tym, że będziemy chcieli wyczytać więcej z naszych początkowych powodzeń oręża, niż na to pozwalają fakty. A przecież wróg jeszcze nie odezwał się.

Wydaje się, że w pierwotnej fazie Niemcy myśleli, iż potrafią stawić dłuższy opór na linii umocnień wybrzeża i zadać nam wielkie straty w ludziach i materiale wojennym. Jednakowoż gdy ich wielkie wysiłki stworzenia wielkiego lotnictwa myśliwskiego spoczyły na niczym, oraz gdy nasze nieprzerwane zwycięstwa nad łodziami podwodnymi wykazały niezbicie, że Sprzymierzeni będą w stanie rzucić na szalę olbrzymie zasoby materiału, stało się niewątpliwie jasnym, że technika linii Maginota, która mogłaby pociągnąć za

sobą ryzyko całkowitego zniszczenia Luftwaffe w jednej olbrzymiej bitwie powietrznej - byłaby równoznaczną z szybką katastrofą.

Naciąg, jaki kładł Rommel podczas swych licznych inspekcji fortyfikacji niemieckich na to, że głównym źródłem niebezpieczeństwa są wojska, przewożone samolotami, wskazywał jasno, że Niemcy dobrze zrozumieli nową sytuację i że będą stosowali nowe metody walki.

Obrona elastyczna

Niemcy lubią wzory terminologiczne: "obrona elastyczna" nie schodziła z warg wszystkich niemieckich komentatorów wojсковych, gdy omawiali wydarzenia na froncie rosyjskim, a ostatnio na włoskim, po zdobyciu linii Gustawa. Jest rzeczą wiadomą, że zbudowali oni stanowiska obronne dalej w głębi lądu; możemy więc spodziewać się, opór niemiecki będzie coraz twardszy w miarę naszego nacisku.

Operując ze stanowiska centralnego, Rundstedt i Rommel niewątpliwie zechcą upewnić się jak najdokładniej, w którym kierunku pójdzie nasze główne uderzenie, zanim poszłą w bój główną masę swej broni pancerniej; prawdopodobnie nie uszło ich uwadze, że w powodzi nadawanych przez Londyn oficjalnych obwieszczeń i wskazówek dla ludności krajów okupowanych przez Niemców, powtarzało się często zdanie: "wstępne działania rozpoczął się."

Jeśli chodzi o nas, to udało nam się wykonać początkowy atak (najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza ze wszystkich faz) wbrew wszelkim rozsądnym przewidywaniom - jednakże nie wolno nam jeszcze odetchnąć spokojnie. Pilną i żywotną koniecznością jest rozbudowanie oddziałów atakujących do rozmiarów normalnej armii, a to oznacza szybki strumień ludzi, czołgów, dział i zaopatrzenia wszelkiego rodzaju. Każda godzina na tu olbrzymie znaczenie.

Element czasu

Pewnym jest, że osiągnęliśmy taktyczne zaskoczenie nieprzyjaciela. Wskazuje na to np. zupełny brak ruchów nieprzyjaciela w rejonie Caen.

Powtórnie, niemiecka decyzja oszczędzania Luftwaffe w obecnym okresie daje nam olbrzymią przewagę, ponieważ możemy atakować bezkarnie całą sieć komunikacyjną.

Przewagę tę wyzyskujemy w całej pełni, a jest to znowu korzyść w czasie, albowiem zniszczone warsztaty i zablokowane drogi oznaczają zwolnienie tempa koncentracji sił nieprzyjaciela.

Wreszcie potrzebny nam jest port pierwszej klasy. Gdy będziemy mieli port, potok posiłków i zaopatrzenia zleci się w potężną rzekę. Zaś Caen odległe jest o 30 mil od Hawru, który był naszym głównym portem kontynentalnym podczas poprzedniej wojny.